



Kazimierz
Przerwa-Tetmajer
Płynące fale

universitas

Płynące fale

KLASYKA MNIJ ZNANA

Kazimierz
Przerwa-Tetmajer

Płynące fale
Romans

Kraków

© Copyright by Towarzystwo Autorów i Wydawców
Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2004

Podstawą niniejszej edycji jest wydanie:
Kazimierz Przerwa-Tetmajer, *Płynące fale. Romans*,
Kraków 1918.

Tekst zmodernizowano według obowiązujących zasad
ortograficznych i interpunkcyjnych.

ISBN 97883-242-1029-9
TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Mirosław Ruszkiewicz

Projekt okładki
Ewa Gray

Kardynał Murri położył gazetę na stole, wstał i przeszedł ku oknu. Spojrzał w dół na Tybr wijący się nieopodal pałacu zielonomętynami falami, w górę ku obłokom lekkim wiatrem pędzonym i powtórzył wyraz przed chwilą, gdy kończył czytać, wypowiedziany: kanalia!

Powtórzył go z przyciskiem, ze złością:

– Kanalia!

Chciał patrzeć dalej przed siebie, ale nie mógł; mimo woli cofnął się od okna i znowu wziął gazetę w rękę.

..., „Włos Damoklesa” ...

Jakiś nowy pismak, jakieś nowe zjawisko, jakiś Łanowski, nie wiadomo Moskal, Polak czy Słoweniec, w tym świstku anarchistycznym rzucił Rzymowi: „Czy widzisz cień włosa Damoklesa pod słońce?...”

Kardynał Murri nie był trwożliwy. Ogromny, silny, herkulesowej budowy, chłop kalabryjski rodem, miał się za potęgę, na której jak na filarze wysokie sprawy świata oprzeć się mogą. Z wyděciem też zuchwałym wargi czytał wyzywające frazesy. Tylko – że czuł się pulsu, z którego wynikły, blisko...

Zwykle frazesy: „Jedna iskra...” „Podminowaliście pod sobą sami – i jedni, i drudzy... Jedna iskra... I jedni, i drudzy jesteście jak w pędzącym po moście pociągu – potrzeba tylko jednego nacisku któregoś koła, pod którym nadpęknięta śruba pęka – runiecie w otchłań, w odmęt, z którego nigdy już nikt was do życia nie powróci... Jesteście przeznaczeni na zagładę...” Frazesy zwykłe, tylko jakieś bezpośrednie...

Kardynał Murri położył gazetę po raz wtóry na stole i mimowolnie prawie spojrział w lustro. Jego imponująca, smagła wielka twarz o drapieźnym orlim nosie i czarne ogniste oczy wyrażały wzburzenie ducha. Nikt nigdy nie śmiał tak wprost rzucić wyzwania w twarz. Do czego doszło! Co będzie?!...

Po przestrzeniach ziemi przelewały się fale. Jedni wznosili się i ginęli od wojen, inni kopali miny albo stali na minach... Mniejsze naro-

dy i słabsze warstwy walczyły o życie lub czekały na straszną walkę o nie; większe o wszystko...

Ksiądz Murri zdawał sobie sprawę z potęgi chaosu. Wiedział, że nadejść może dzień, w którym zarówno ten porządek świecki, o który opiera się rząd duchowny, jak i porządek duchowny będą musiały stawić czoło napierającym na nie z coraz większym zuchwalstwem naporem. Wiedział także, że dzień ten będzie ciężki nad wszelki wyraz. Hydra podziemna wybujała do jakichś potwornych rozmiarów. Ginęły w niej wszystkie na giełdzie politycznej notowane postępowe stronnictwa. Lęk i groza ogarniały najdalej idących ideologów, wyznawców zawziętych i awanturników oficjalnego postępu. Gdy skład rzeczy w jednej stronie świata groził zawaleniem starej budowy, rzucał rakiety krwawego płomienia na rynki miast i przed uroczyste portale; gdzie indziej krew się lała w obronie swego bytu, swoich praw, swojej świętości domowej, swoich ojczyzn tym przeklętych, że mniejszych ludem i siłą.

Kardynał Murri byłby zmiał gazetę leżącą na stole, zmiał i zdeptał nogą, gdyby z niej nie widniała jakaś twarz prawdy, prawdy dla kardynała ohydnej, a jednak prawdy. Ten głupi świstek jakiegoś krzykacza działał na ogromnego kardynała jak jadowity wąż, którego trzeba zabić, a którego patrzące źrenice więżą i ubezwładniają fosforycznym, zagadkowym, niepokojącym i nie pozwalającym ani odejść, ani ruchu uczynić spojrzeniem.

I cóż ta mała „Polka”, która tak często stara się go widzieć, a w której diabeł wie, co na dnie jej oczu niebieskich siedzi, oczu mdlejących często, ta ambasadorka swojej ojczyzny? Cóż ta księżna Dorota Korecka? Czy jest czas zajmować się gdzieś ludem jej w ucisku? A przecie nie można jej okazać nic, jak tylko niedostąpiony najwyższy, bezskazitelnym władcy majestat.

Kardynał spojrział na zegarek. Za chwilę miała wejść; za chwilę miała wszcząć się rozmowa, nie: czy, ale: ile władza uosobiona w purpurze kardynała może uczynić dla jej uciśnionej ojczyzny? Za chwilę piękna jej głowa na skończenie pięknym ciele pochyli się z zapytaniem i prośbą – i z wyrazem oczu, którego sam bóg z Olimpu nie umiałby nazwać...

Otóż i wchodzi – – –

Kardynał uśmiechnął się lekko, poprawił włosy i zbliżył się ku drzwiom wchodowym. Za chwilę stanęła w nich młoda kobieta, lat mniej niż trzydziestu, piękna, dostojna i ślicznie ubrana.

– Czekam – ozwał się kardynał, posuwając się naprzeciw.

Gęsty woal zasłaniał twarz księżny Koreckiej. Suknię miała jasną,

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

